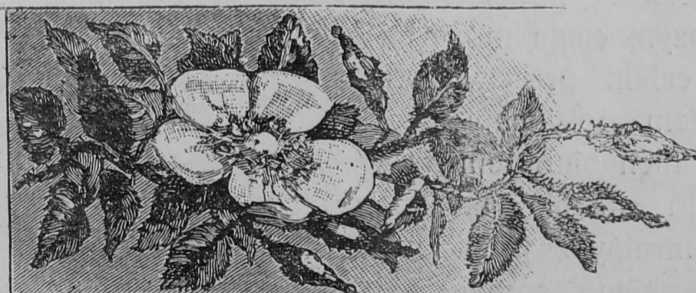


ZIARNO



WIOCHNA.



Żydzi w Wielkopolsce.



d pewnego czasu pomiędzy żydami objawiają się silne dążności do przeciwdziałania wychodźtwa izraelitów z ziem polskich pod zaborem pruskim i do umożliwienia im dalszego pobytu na wschodzie państwa niemieckiego. Sprawą tą między innymi zajmowała się berlińska miejscowa grupa centralnego związku niemieckich obywateli żydowskiego wyznania dnia 19 lutego na zebraniu, na którym przemawiał nauczyciel żydowski Becker z Wolsztyna w W. Ks. Poznańskim o położeniu żydów na kresach wschodnich, a szczególnie o ich przyszłości w księstwie.

Mówca na wstępie omawiał ideały ludzkości: wiarę i ojczyznę, dodając, że żydzi wszystkich czasów i pośród wszystkich narodów dla tych ideałów ponosili nadzwyczajne ofiary; szczególnie wielkie są te poświęcenia żydów w najnowszym czasie na kresach wschodnich. Skutkiem tych niebываłych ofiar jest wychodźtwa żydów do wielkich miast, a szczególnie do Berlina. Becker podawał o emigracji żydów dane statystyczne, od r. 1895 uwidoczniające ubytek żywołu żydowskiego po miastach i wsiach na ziemiach polskich. Według obliczeń Beckera, przyjmującego za podstawę obecny procent wychodźtwa żydów, w roku 1940 w Księstwie Poznańskim na stu mieszkańców przypadać będzie zaledwie jeden żyd.

Zdaniem mówcy olbrzymie skupienie się żywołu żydowskiego po wielkich miastach, a szczególnie w Berlinie, dla żydów musi mieć następstwa fatalne. Równocześnie wskazywał także na socjalne następstwa tej emigracji dla żydów, pozostających na ziemiach polskich. Stosunek tych żydów do władz, szacunek żydowstwa u innowierców, a przede wszystkim niebezpieczeństwo dla bytu żydowstwa w tamtejszych okolicach są narażone w najwyższym stopniu na szwank. Jest to tem więcej pożałowania godnem, że z żydowstwa, żyjącego na ziemiach polskich, wyszli jego przywódcy religijni, znakomici uczeni i mężowie, zajmujący naczelne stanowisko w handlu i przemyśle. Omawiając przyczyny tej emigracji, Becker wskazywał na to, że pierwszą pobudką są troski ekonomiczne.

W dalszym ciągu mówca omawiał dotychczasowe usiłowania celem przeciwdziałania temu wychodźtwa żydów z ziem polskich. Obecnie żydzi zamierzają urządzić dla nich biuro emigracyjne, udzielające wskazówek co do zarobkowania izraelitów na ziemiach polskich. Centralny związek obywateli niemieckich wyznania żydowskiego sprawą tą zajmuje się z wielkim zapałem. W dalszym ciągu mówca omawiał program pracy tego biura informacyjnego i zalecał dalsze środki do utwierdzenia na ziemi żydowstwa oraz do prze-

szkadzania odpływowi żydów do wielkich miast. Wywody swe zakończył gorącym apelem do licznie zebranego żydowstwa berlińskiego: Brońcie naszej wiary i brońcie naszej ojczyzny(?). Niestety, pisma żydowskie nie podają szczegółowo programu pracy mającego powstać żydowskiego biura informacyjnego, oraz nowych środków celem utwierdzenia żydowstwa na ziemiach polskich. Bliższe wiadomości o tych zabiegach, jako wymierzone głównie przeciwko powstającemu polskiemu stanowi średniemu, byłyby nader pożądane. Społeczeństwo polskie w każdym razie sumiennie śledzić powinno te zabiegi żydów niemieckich około zatamowania rozwoju naszego stanu średniego.

Za przykładem Berlina odbyły się podobne zebrania w rozmaitych miastach wielkopolskich. Wynika z tego, że żydom na ziemiach polskich chodzi o jednolitą, wielką akcję celem utrzymania swej przewagi w handlu i przemyśle. Że akcja ta zwrócona jest przede wszystkim przeciwko polakom, wynika pośrednio z tego, że zastępcy żydów w sejmie pruskim w czasie ostatnim z szczególną natarczywością domagają się popierania średniego stanu niemieckiego po miastach polskich zaboru pruskiego.

Warto tu przypomnieć wywody posła żydowskiego Aronsohna w komisji budżetowej sejmu pruskiego, gdzie podczas obrad nad komisją kolonizacyjną gorzkie wylewał łzy nad upadkiem przemysłu oraz handlu niemieckiego po miastach wielkopolskich, żądał energicznych środków celem podtrzymania ich, a znamiennem było również jego wystąpienie w plenum izby poselskiej w sprawie udzielania drugorzędnych hipotek po miastach i miasteczkach kupcom i przemysłowcom. Pod płaszczykiem niemieckiego stanu średniego ukrywają się oczywiście żydzi.

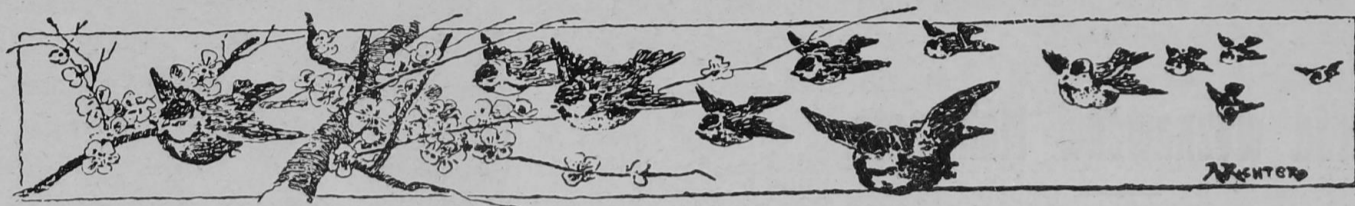
Partja postępową wtedy, nie chcąc się solidaryzować z wywodami i stanowiskiem Aronsohna, oświadczyła, że stanowiska Aronsohna w tej sprawie, jako zwróconej przeciwko polakom, nie podziela. Miarodawcze koła nasze tym zabiegom żydowskim powinny poświęcić baczną uwagę, szczególnie śledzić je powinny nasze organizacje przemysłowe, aby zawczasu zapobiedz szkodom, któreby żydzi z pomocą rządu mogli wyrządzić naszemu przemysłowi i handlowi. Żydzi poparcia rządowego są tem pewniejsi, że i konserwatyści i narodowi liberałowie energicznie popierają wzmacnianie niemczyzny po miastach wielkopolskich.

Cała sprawa przedstawia się dla nas bardzo jasno: Skutkiem wzmożonego ruchu ekonomicznego na ziemiach polskich żydzi czują, że chwieje się grunt pod ich nogami. Aby utrzymać swą przewagę w handlu i przemyśle, udają wobec rządu i władz pruskich wiel-

kich patryotów, którzy dla niemczyzny na kresach wschodnich rzekomo tak wielkie ponoszą ofiary. W zamian za to domagają się szczególnej opieki władz pruskich, licząc na ich nienawiść do polaków. Rząd pruski zaś, w gruncie rzeczy bynajmniej nie przyjaciel dla izraelitów, gotówby posłać na kresy polskie i samego diabła, byle tylko dusić i gnębić niena-

wistną mu obcą narodowość. Tę działalność żydów omawia obecnie prasa wielkopolska, licząc się z nowym zamachem żydowskich patryotów na dzielnicę piastowską.

Dla nas jest ten ruch znamienym znakiem ostrzegawczym i dalszym przyczynkiem do poznania prawdziwego charakteru żydowskiego. *W. G.*



Wieści z Durazzo.

(KORESPONDENCJA).

Dokonane na wjazd ks. Wieda porządki utrzymują się niezłe. Ulice są wymiatane, nieczystości wywożone. Policja przestrzega przepisów, regulujących kardynalne normy współżycia obywateli cywilizowanych, obywatele zaś sami przyzwyczaili się już poniekąd do tych nowinek kulturalnych, które początkowo przyjmowali pomrukiem.

Ruch budowlany rozwija się szybko. Co krok coś starego burzą i co krok budują coś nowego. Wszystko już z cegieł. „Ala franca!“ Przedsiębiorcy, przeważnie Niemcy, rachują na „zyski egzotyczne“ — świadomi rzeczy wróżą im bankructwo.

Hotelarzy jest już dzisiaj tyle, ile przyjezdnych. Gdy przyjechałem do Durazzo, nad brzegiem morza, pod smutnie szumiącą oliwką rozmyślałem o niedoli rozbitków. Nigdzie ani piwnicy wolnej, ani nawet strychu. Przypomni mi się Robinson Kruzoe, rozdział za rozdziałem.

Teraz tylko wybierać. Na rogu każdego zaułku ciemne figury następują Europejczykom na pięty, zachwalając w pięciu językach rozkosze hotelu Adriatic, Constantinopol, Serajewo, Albanja, Waradin, Clementi itd. Ten ostatni w rękach niemieckich, urządzonej jest znośnie. Mieszkać w nim nie jest jeszcze przyjemnością, ale przestaje być cierpieniem. Bolesny jest tylko dzień obrachunku. Boć przecie na fantazję zakrawa fakt niestety prawdziwy, iż za pokój z utrzymaniem płaci się 70 fr. dziennie.

W zamian ma się towarzystwo dobrane odpowiednio do ceny: posłów i konsulów całej Europy, którzy mieszkania innego znaleźć nie mogą, przedstawicieli banków wiedeńskich, trzy miesiące już kombinujących, jakby w Albanji można robić pieniądze, inżynierów, którzy co tydzień nowe plany gotują, jakby to bić gościńce, koleje budować, rozszerzać porty i wreszcie oficerów holenderskich, którzy dzwonią ostrogami i świszczą szpicrutą, a jeżdżą na osłach i należą do piechoty.

Przemysł gospodnio szynkarski przeżywa również okres rozkwitu. Poprzednio jedna jadłodajnia truła wszystkich, obecnie co drugi dom mieści restaurację.

Na punkcie upodobań z strony gości panuje wyłączność patryotyczna: młodzi albańczycy uczęszczają do lokalów, które nazywają się: Tarabosz, Szkodra, Wolność i niepodległość, Za króla i ojczyznę. Włochów znajdziesz tylko w „Gwieździe Italji“, w „Tripolisie“ albo w „Il mare nostro“. Niemcy łączą się pod dewizą narodową: „Bierhalle“.

Ponadto powstały dwa zakłady fotograficzne (w jednym pracuje polak Jelinek z Liska w Galicji), skład gramofonów, maszyn do szycia i do pisania, pralnia parowa (którą założył także polak Krynicky z Galicji), salon fryzjerski (gdzie spirytusu butelka z etykietą „Eau de Cologne“ kosztuje 15 fr.), jest już nawet zastępstwo fabryki samochodów i niebawem będzie kinematograf.

Kolonja europejska wzmaga się niepokojąco. Maluchne, zadymione kawiarenki tureckie, w których ściany są niskie, stoliki przy ziemi, okna jak dziurki od klucza, a filiżanki jak napastrki, pełne są dziennikarzy, którzy telegrafują, fotografów, którzy zdejmują, inżynierów, którzy zakładają biura, adwokatów, którzy czekają na otwarcie sądów, dentystów, którzy chcą rwać zęby i komiwojażerów, którzy przekonywują kupców, handlujących cebulą i obwarzankami, że aparaty do manicure, monokl i środek przeczyszczający „purgen“ — są to artykuły niezbędne.

— Niezbędne, powiadasz? — dziwi się turek, wierzy i kupuje.

Zresztą Durazzo weszło w modę. Co kilka dni zjawia się coraz to inny statek spacerowy w przystani i wysypuje rój Niemców, Anglików i Amerykan na ląd. Przypomina się transport trzody i owiec. Ajenci Coocka, idąc po flankach, pędzą gromadę i pilnują, aby wszystko szło środkiem wskazanej ulicy. Czasem jakiś Anglik indywidualny, zapędzi się w boczny zaułek, atoli naganiacz wnet go sprowadzi za kołnierz w sam środek tłumu, który gna dalej

w obłokach kurzu, wśród kłapania aparatów fotograficznych i szwargotu zdumienia. Obejrzy turysta pałac królewski, klusem przebiegnie całe miasto wzdłuż, nakupi starych marek, napisze stos pocztówek i wraca pędem na okręt.

M. Z.

Wśród wyznawców Mahometa.

(DOK.).

— Na miejscach przeznaczonych dla gości, zasiadło jeszcze kilku maruderów, a niezdługo w drzwiach wewnętrznych ukazały się brązowe postacie derwiszów. Było ich siedmiu, czy ośmiu. Z rękami założonemi na piersiach, pochylając głowy w białych kołpakach, utworzyli żywy szpaler dla głównego maga, jakim jest ich imam. Starzec ów, niski i barczysty, aniżeli ascetycznie wyniosły, wszedł dużymi, ciężkimi krokami, przeszywając ognistym, trochę jakby nieufnym spojrzeniem, obecnych. Nigdy nie zapomnę tych fosforyzujących oczu, jasnych, a jednocześnie okrutnych, wpatrzonych z jakąś pogodą w wewnętrzny świat utajonych wizji, a z żarem nienawiści i pogardliwej litości w nas, niewiernych widzów.

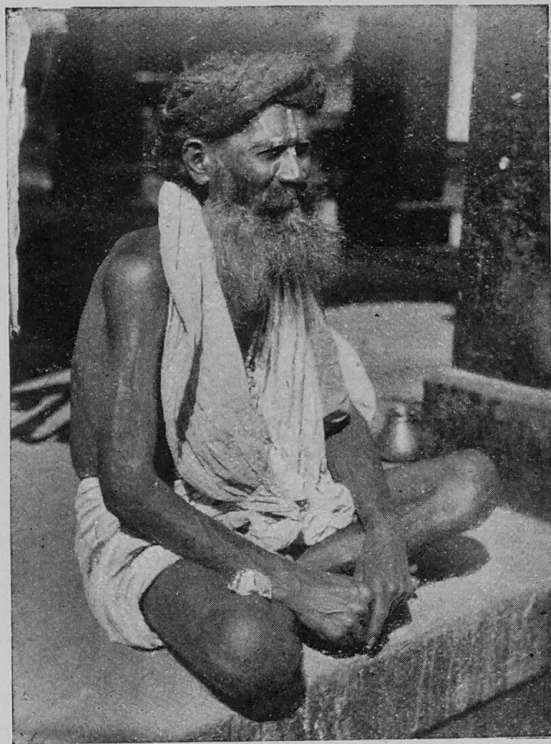
Święty imam padł na twarz przy michrabie (ołtarzu), to samo uczynili derwisze. W ciszy bez-



Zamożni mieszkańcy miasta Skutari.

względnej zastygła sala na dłuższą chwilę modłów, poprzedzających fanatyczny obrząd.

Od czasu do czasu rozbrzmiewał głuchy, rozdarty bełkot któregoś z derwiszów; odpowiadali mu



Derwisz przy michrabie (ołtarzu).

chórem inni, poczem następowało żywsze kiwanie się wszystkich w bardziej zwartym szeregu. Modły te robiły wrażenie strojenia instrumentów głosowych, same zaś ruchy potęgującą się rytmiką świadczyły o stopniowym powstawaniu zbiorowej już ekstazy.

Ale minęło pół godziny, a derwisze nie przedstawiali się modlić na zwykły sposób muzułmański, niesłychanie denerwujący dla otoczenia. Na głodnych sensacji twarzach anglików malowało się wyraźne rozczarowanie. Szarpane i specyficznym fałszywym zawodzeniem tych kilku porcelanowych figurek istotnie przyprawiły o ekliwość i ból głowy. Atmosfera nerwowa stawała się nie do zniesienia dla biernego widza. Najwidoczniej jednak stwarzano ją planowo i niewątpliwie o wiele dotkliwsza musiała być emocja czynnego uczestnika liturgji, bo oto nagle, jak na komendę, derwisze powstali z słomianek i stanęli w szeregu, położywszy sobie dłonie na ramionach. Oczy ich były już martwe, nie widzące świata.

Przestali już mówić, jak to rozpoznałem z dźwięków obcej mi, lecz dość już osłuchanej mowy — zaczęli już tylko mruczeć, rozkołysowując rytmicznie tułów, niby bijąc pokłony na dwie strony świata. Mruk ten przechodził w rżenie, to znów w chrapliwy ryk zgłodniałych zwierząt, jaki nieraz można usłyszeć w ogrodach zoologicznych. Ożywił się stary imam i jakby odmłodził. Zwrócony do szeregu, przytupywał nogami, klaskał w dłonie, całą swą rozchwianą postacią zachęcając do płasu i radosnych, krzykliwych wyzwolin. Nadeszła chwila, gdy z grona obecnych na sali turków zaczęły się odrywać pojedyncze figury i przypadając po-

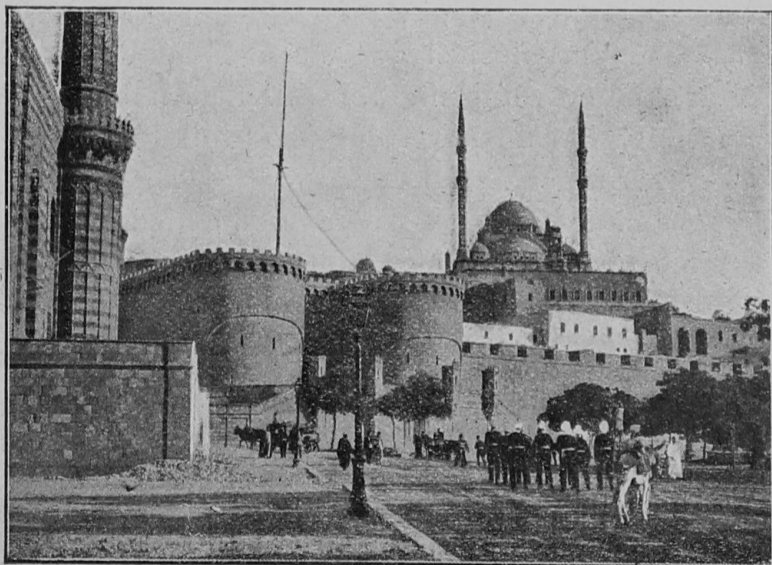
kornie do świątobliwej dłoni groźnego arcykapłana z prośbą o przyjęcie ich do siebie, formowały następny szereg. Falowały już zatem dwie zwarte ławy głów, ramion i wiotkich, jakby niematerjanych tułowiów.

Z ust tych ludzi wypadały już tylko urwane, śmiertelnie zmęczone okrzyki:

La Ilach Ałlach Ałła Chu!...

To jeden, to drugi zrzucał z siebie gruby bronzowy płaszcz, a widziałem z bliska, jak pot rześisty, nieocierany, spadał z nieprzytomnych twarzy derwiszów na podłogę. Podbiegali do modlących się „wyjćów“ chłopcy i z czcią całując przepocone szaty, składali je na uboczu. A imam wciąż groźniej, wciąż natarczywiej podburzał do ekstazy. Wtedy zanikło w wyciu nawet święte imię Ałlacha. Zarazem poczułem, że staję się świadkiem, a bodaj uczestnikiem rzeczy naprawdę niezwykłej, że danem mi oto widzieć narodziny szału. Cokolwiek mi sceptycy powiedzą o derwiszach z Skutari, nie uwierzę, iżby celem choćby najostatniejszym ich obrzędów było dawanie nam, Europejczykom, mocnego widowiska. Cóż z tego, że pobierają drobną opłatę za wstęp? dlaczegoby mieli zapraszać nas bezinteresownie, skoro ciekawość europejska zasila ubogie fundusze ich gminy? i czyż przedsiębiorcy przeróżnych medjów — nie szukając daleko, choćby w Warszawie — nie opodatkowują swych gości, i w dodatku słono?

Radzę sceptykom wypróbować uczucia tego na sobie przez samo choćby kiwanie się w postawie stojącej przez pół godziny. Już samo oglądanie podobnego ruchu przyprawia o zawrót głowy. Cóż dopiero może działać potężna, fanatyczna i wszech-



Widok z Skutari.

stronna sugestja jednego, panującego nad tłumem imama? Człowiek ten miał nad swymi uczniami władzę tak pewną, że na skinienie jego palca skoczyliby bez namysłu w morze, w przepaść, lub na nas, gjaurów.

Przymknąłem oczy. Imam wydał mi się olbrzymem z jakiejś bajki tysiąca jednej nocy. Rozdygo-



Derwisze w Skutari.

tany zastęp derwiszów — wszystkim, tylko nie rzeczywistością, od której mnie dzieliły dwa kroki.

Ale oto derwisze umikli, jakby na dany znak. Imam wyrzekł jakieś słowo, na którego dźwięk rozbrzmiało ostatnie, długie, przeciągłe wycie. Był w tem i płacz i skarga, ale i jakby jakaś podzięką bóstwu za godzinę szczęścia.

Pryśły czary ekstazy zbiorowej. Derwisze, już jako zwykli ludzie, śmiertelnie znużeni długim transem, rozsiedli się po kątach.

Wtedy nastąpił finał. Krępy i ciężki imam, z lekka podtrzymywany przez dwu przybocznych mężczyzn, stapał po ciałkach chorych dzieci, rozpostartych na podłodze. Biedactwa płakały żałością, ale rodzice ich, stojąc opodal, promienieli szczęściem. Albowiem nawet stopy imama są święte i posiadają moc cudowną uzdrawiania.

Konstantynopol, 30 kwietnia.

T. N.



HENRYK RZEWUSKI.

Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

(c. d.)

— A ktoby zmusił rycerza uzbrojonego wieżę wysiadywać?

— A co to waszeć za górą siedzisz, że nie wiesz, co się robi?

— Chciałbym tylko wiedzieć, jak się tu biorą do rycerza, żeby go zwabić do zdania rachunku z postępów swoich przed starostą.

— A to chyba waszeć nie wiesz, że szlachcic nie poddający się wyrokowi, jest jakby pod klątwą. Nikt z nim mówić nie chce; jak go spotka, ucieka od niego, jakby od djabła. Szczęście, jeżeli natrafi na naszego brata dysydenta, bo nie znamy tych zabobonów. Ale papieżnik brata rodzonego się zaprze, jeżeli on się powadził z prawem. Wierz mi, mości

atamanie, że kiedy gród za jakąś psotę skarże rycerskiego męża na wieżę, to chociaż go nikt nie zmusza po szczeremu, żeby się stawił i z tem długo się ociąga, to potem z tego taki smutek, taki srom, że się znajdzie przed grodem i mówi:—Róbcie zemną co chcecie, bo dłużej nie wytrzymam.

— Czemużby w takim razie nie miał się wynieść w jakieś oddalone województwo? Wszak wasza Rzeczypospolita obszerna.

— A to piękna rada! to go wtedy ogłoszą banitą.

— I cóż tego?

— Co z tego? oto, że nie będzie wart i złamanego halerza. Pierwszy, co go zechce zabić, zatłucze bez wyzwania na rękę, tylko z poza płotu do niego wypali, jak do wściekłego psa.

— A kiedy tak, ośmieliłbym się poradzić waszmości, byś do naszej wiary przystał.

— Możeby nie był od tego. Coś tam ludzie bąkają, że pan Samuel przekształcił siebie na zaporozca; on by od razu mię poznał i jeżeli ma tam jakieś swoje znaczenie, pewnieby dobrze mnie zalecił waszej starszyźnie. Z tem wszystkim zaporozcem nie zostanę, a to dla trzech przyczyn.

— Dla jakich?

— Pierwsza, że u was szlachcic musi się zaprzeć swojego herbu, a nawet nazwiska, a przyjąć jakieś imienisko; czembym siebie zbratał z chłopami, co jest przeciwko mojemu sposobowi myślenia. Druga, że jak mi mówiono, kiedy ktoś przeszkobie przeciwko ustawom, batogami okładają obnażoną skórę. Na co nigdy nie pozwolę, chociażby mi za to obiecywano hetmaństwo nie tylko zaporozskie, ale nawet koronne. A trzecia, jakby to waszeci powiedzieć... zresztą co to w bawełnę owijać: że o waszych obyczajach bardzo brzydko mówią. Widzisz waszec, że się tłumaczę otwarcie: *in vino veritas!*

— Mości towarzyszu pancerny, ta ostatnia przyczyna jest tylko potwarzą, na którą pluć trzeba. Co się tyczy zaparcia się swojego szlactwa, powiem, że u nas nikt się od niego nie odrzeka, tylko winien je tać, pokąd jest zapisanym w rejestrze zaporozkim; lecz każdego czasu może się z nami rozstać i powrócić do zawieszonych zaszczytów. Prawda, że u nas obicie kijmi jest jedyną karą, ale czy można przypuścić, żeby tak gładki i tak waleczny rycerz, jakim jest pan towarzysz, mógł kiedykolwiek na karę zasłużyć?

— Co mnie waszec chcesz z rozumu wyprowadzić, ja i słuchać tego nie chcę. Zresztą, co mamy o tem gadać! Jeżeli za sprawą waszecina jutro ugryzę ziemię, czybym się zgodził na wasze prawa, czy nie, zawerbujecie mnie do Zaporozża; a jeżeli moja na wierzchu będzie, tem na Siczy nie nabędę zasług, by aż za nie z wielkimi honorami wasi mnie przyjmowali.

Tyle tylko mógł jeszcze jakkolwiek wyraźnie powiedzieć; już język bardzo mu się poplątał, bo rozmowę swoją z atamanem ciągle zakrapiał. Nako-

niec wszystkie zdolności umysłowe jego odstąpiły, w czem i inni biesiadnicy w tyle nie zostali, aż bez przytomności zsunął się pod ławę.

Ale arendarz, względny na gubernatorskiego syna, wziął go w opiekę. Kazał zaprzadzić do swojej bryki; na niej położono pana Ezechiela, śpiącego snem sprawiedliwym, a Siwosza zaprowadzono do stajni zamkowej. Tam zawiózł Icko pana Ezechiela pod straż wiernego Swiryda.

IV.

Już słońce od dwóch godzin oświecało Kalnik, kiedy pan Ezechiel się ocknął. Głowę miał ciężką, zgaga mu dokuczala i nie bez trudności skupiał myśli. Jednak przypomniał sobie, że po południu ma się potykać na ostre. Zerwał się z pościeli i boso zaczął zmierzać powolnym krokiem swoją masztarnię. Przeglądał czasem swój miecz i zbroję, wreszcie krzyknął na pacholka.

Przybył Swiryd z stajni.

— Co pan rozkaże?

— Głowa mnie trochę boli. Pójdź synu za mną do stawu, wykapać się muszę: będzie mi lepiej. — To rzekłszy, obwinął się w derę i boso pobiegł na groblę, a za nim Swiryd.

Już jesień się zaczynała, woda była nieco chłodna, ale nasz rycerz, bynajmniej się nie pielęgnując, zrzucił derę, koszulę oddał Swirydowi, i skoczył w staw, w którym kilkanaście razy się zanurzył. Ból głowy jakby ręką odjął; wyszedłszy z wody, zaczął biegać nagi po grobli, żeby się osuszyć wiatrem; dopiero wziął koszulę i powrócił do masztarni, a Swiryd pobiegł do piekarni, żeby przynieść panu jego zwyczajne śniadanie: garnek barszczu i misę kaszy jaglanej z słoniną.

Jak przyniósł strawę, pan Ezechiel wziął się do łyżki i wkrótce nią oczyścił i garnek i misę, co mu i siły dodało i wesołość podwoiło.

— Swirydzie — rzekł do stojącego sługi — co byś ty mnie poradził zrobić z pieniędzmi, gdybyś u mnie obaczył kilkaset złotych?

— A co, panie, wzięlibyśmy wioskę w posesję, żeby się doczekać własnego chleba.

— Otóż to chłopska natura, kopy liczyć i do góry brzuchem leżeć. Zareczam tobie, że jak przyjdę do pieniędzy, o czemś rozumiejszem pomyszę.

— Żebym je tylko widział u pana, to może lepiejbym umiał poradzić, niż dopiero; ale na co się przyda myśleć o groszu, który w cudzej, a nie w naszej kieszeni siedzi?

— Znajdzie się on może i w naszej; niezadługo obaczysz.

— A, rozumiem! Stary jegomość musiał panu obiecać gościńca.

— O prawda! znasz ludzi, jeżeli myślisz, że u mojego ojca coś dostać można. On swoich pieniędzy własnym oczom zazdrości, zamyka worki w skrzynce i na nie sam nie patrzy. Pamiętasz, jak

to widząc, że weselszy niż zazwyczaj, prosiłem go, żeby mnie udzielił kilkadziesiąt pni pasieki na początek gospodarstwa. Myślę sobie: ja to wszystko sprzedam przed jesienią i z tego urodzi się koń dla mojego Swiryda. Widzisz, synu, jak o tobie pamięta twój pan. A stary co mnie powiedział? „Na co mam się drobić, Ezechielku? to wszystko co po mnie znajdziesz, będzie kiedyś twoje, boś u mnie jedynakiem. Co moje to twoje“. I tak mnie z kwitem odprawił.

— A skądże będą pieniądze?

— Skądże będą? a jaki ciekawy!

— Daj Boże! bo wszyscy się ze mnie śmieją, że jestem niby giermkim, a piechotą chodzić muszę, odtąd żmujdzki koń, coś go pan to dla mnie na borg dostał w Zborowie, trzeciego dnia po naszym przybyciu do Kalnika podziękował nam za służbę. Pan jeszcze za niego nie zapłacił, a już go niema.

— Pan Bóg go dał, Pan Bóg go wziął; niechże się udaje do niego ten, co mi go sprzedał. Przynajmniej koło Zborowa są dobre dusze, które poczciwym ludziom pożyczają, ale w tutejszej tatarszczyźnie, kiedy kieską nie zabrzęczysz, ani się nie odzywaj o towar. Nie to; prędzej, niż się spodziewasz, będziesz miał konia; ale jakiego! już zostaw to mnie, moja w tem głowa. Przed niewodem ryby nie łów; wolimy o czem innem pomówić. Czy wiesz, że dziś po południu będę miał przeprawę? I Siwosz i moja szabla będą w robocie.

— A z kimże to pan potykać się będziesz?

— Z tym ślepym zaporozcem, co chodzi z py-skiem okitajkowanym. Wczoraj zaszedłem do Icka; tam zastałem jednego i drugiego psubrata koło garnca.

— Icek wczoraj już późno oddał pana w moje ręce, ale pan zdawał się być zaprzyjaźniony, a nie zagniewany.

— Prawda, że z nimi się podochociłem; ale żebyś wiedział, jakim winem! Bawiliśmy się z sobą, jak dobrzy przyjaciele, ale z zabawki przyszło do tego, żeśmy siebie wyzwali. Najlepsi przyjaciele biją się z sobą, a dla czegożby się nie miał bić cudzy z cudzym?

— A na licha taka przyjaźń, z której się można guza doczekać.

— Jaki z ciebie cap!— a od pięciu lat u mnie giermkujesz. Jak tobie o tem nie wiedzieć, że bitka nie tylko nie przeszkadza przyjaźni, ale trudno, żeby była bez bitki prawdziwa miłość. Pamiętasz, jak to na wojnie inflandzkiej żyłem brat za brat z Kazimierzem Mroczkim; a co moje, to jego — co jego, to moje, w jednym łóżku sypialiśmy. A jednak o jedną dziewczkę łotyszanekę, której mowy ani ja, ani on nie rozumiał, przyszło do tego, żeśmy na siebie zjadliwiej nacierali, niż na kawalerów mieczowych pana Kettlera. To on na trzy cale schował grót swojej kopji w moim boku, jakby w pochwie. Szcze-

ście, że nosimy koszulki druciane; gdyby nie to, na wskrośby mnie przebił. A powiedz, czy potem nasza przyjaźń nie była jeszcze większą, niż wprzód?

— A prawda, panie, że tak jest po rycersku; ale trudno, żeby giermek, co musi chodzić piechotą, pamiętał o prawach rycerskich. Niechno pan mnie da konia, a obaczy, jak będę mądrym.

— Mówiłem, że dam i to niezadługo. Tylko nie zbijaj mnie z tropu, bo tu o rzecz chodzi. Już wiesz, że z tym kozakiem bić się będę; to nie jest sprawa z kolegą, jak to był pan Kazimierz; nie mam, ni chcę mieć przyjaźni z siczowym hajdamaką. Musi więc być jakaś przyczyna, że to wszystko mimo siebie puszczam, a bić się z nim będę do upadłego. Pokaże się, że w tem twoja sprawa więcej niż moja. Ale też bez ciebie się nie obejdę. I musisz to zrobić, co ci powiem.

— Słucham, panie; pan każe, sługa musi.

— Obaczysz, że ciebie wykieruję na prawdziwego giermka, i że może Bóg da, iż tobie jeszcze nobilitację wyrobię.

— Dobrze panie, niech tylko wiem, co mam robić, a jakoś to będzie.

— Niezadługo przyodzieję zbroję i siądę na Siwosza, a ty także na koń i za mną.

— A na jakim koniu, bo my tylko jednego mamy?

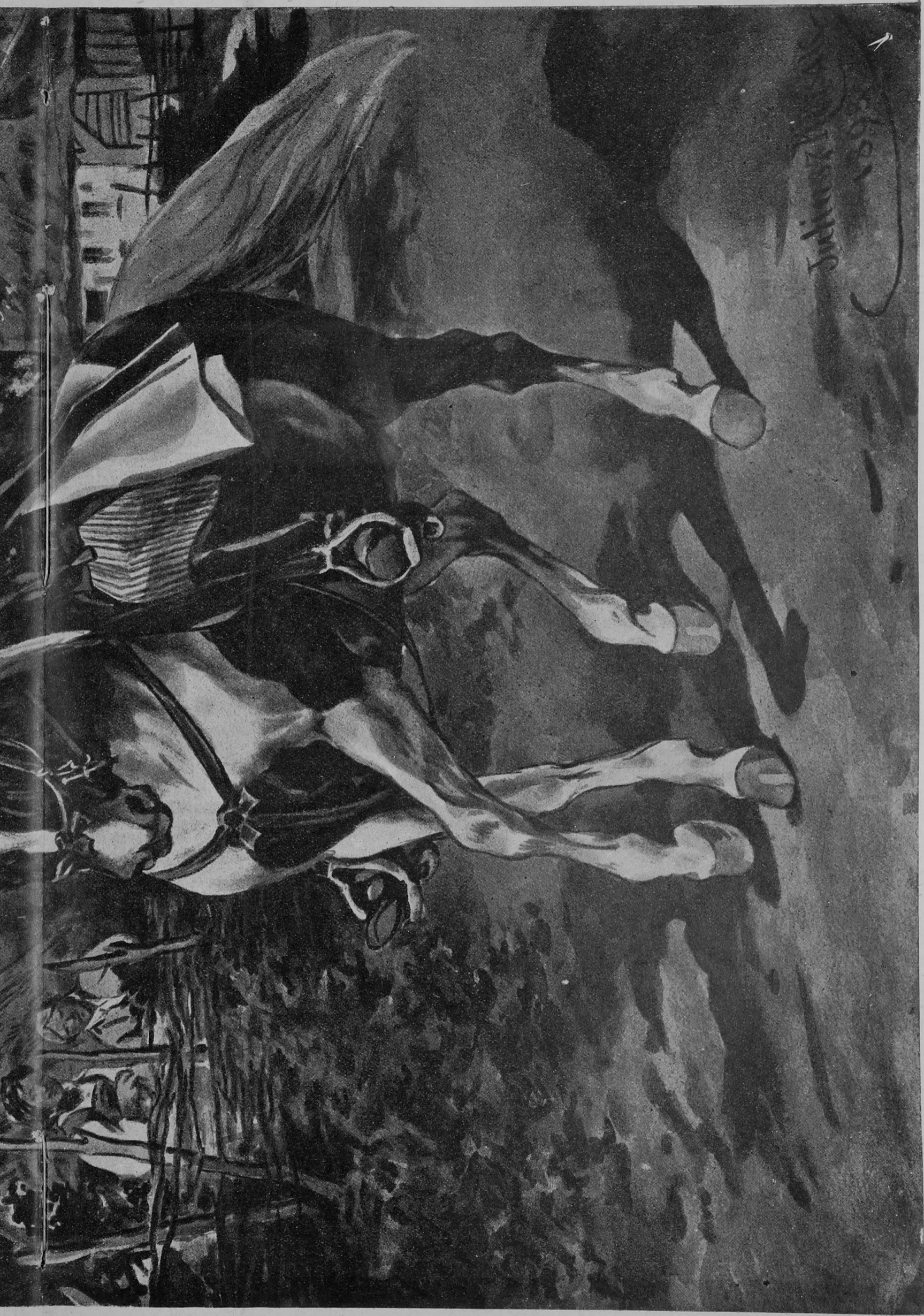
— Nie turbuj się; siądziesz na pożyczonym koniu, ale to będzie już po raz ostatni. I pojedziemy do miasta: ty mnie nie odstępuj. Otóż uważaj, Swirydzie, bo to o ciebie chodzi tyle, a może więcej niż o mnie. Ty władasz toporem ledwo nie tak, jak ja: to wiem z doświadczenia; i dlatego ostatki wy dobyłem z kieszeni, żeby ci sprawić kubek w kubek taki jak mój. Owóż tedy, kiedy z jednookim kozakiem rozpoczniemy taniec rycerski, ty z oka nie puszczaj tego drugiego kozaka, co rudo zarasta. Staraj się z nim zabrać znajomość. Ale nie rozstawaj się ani na chwilę z swoim toporem, bo to jedyna broń twoja. Otóż, jak rudy obaczy, że koło jego atamana krucho, a zechce wmieszać się między nas, nie pozwalaj, żeby się do swojego konia przybliżył, a jeżeli uparty, palnij go z całej siły po łbie toporem. Wszak to nie szlachcic, jeno taki chłopak jak ty, więc żadnego nie będziesz miał grzechu przed Bogiem, chociażbyś mu głowę odrąbał.

— Niech pan będzie spokojny; Swiryd tego nie dopuści, żeby cudzy panu przeszkadzał w czasie potyczki. Zabiorę ja znajomość z tym rudym zaporozcem, a jeśli zechce na złość się na konia, nie pożałuję go: po łbie toporem dostanie, jak Pan Bóg przykazał.

— O toś mi sługa! Z takim koniem, jak Siwosz, a giermkim, jak Swiryd, nie na jednego porwać się można.

Uradowany pan Ezechiel wziął na siebie szarawary juchtowe i kaftan łosiowy, i poszedł do





JULJUSZ KOSSAK.

DRUŻBA Z KRAKOWSKIEGO WESELA.

podstarościego folwarku kalnickiego, z którego żoną żył w wielkiej przyjaźni.

Była to kobieta podżyła, wysoka, tłusta, wrzaskliwa, trzymająca całą czeladź w rękach, jakby w kleszczach, a gorliwa katoliczka. Jej mąż, chociaż stary żołnierz, bał się jej jak ognia. Dla wszystkich była groźną: jeden tylko pan Ezechiel był jej rozpieszczonym dzieckiem: co chciał z babą robił. Zawsze ją w rękę całował, opowiadał jej różne swoje wydarzenia, czem ją często serdecznie rozśmieszał; ale nawzajem słuchał z budującą cierpliwością jej morałów i wykładów wiary katolickiej. Bo staruszka nie przestawała karmić się nadzieją, że go zwróci na łono prawowiernego kościoła. Nadzieję swą na tem opierała, że chociaż młody heretyk nie okazywał wprawdzie ochoty do pojednania się z kościołem, z drugiej strony jego noga nie powstała w kirku, obok zamku wystawionym sumptem pana krakowskiego, a gdzie w każdą niedzielę pan gubernator słuchał parogodzinne kazania i śpiewał psalmy.

Otworzył drzwi pan Ezechiel i zastał podstarościcę zrzedzącą i rozdającą motki prządkom. Jak tylko zobaczyła pana Ezechiela, zaraz się ułagodziła. On czempredziej przysunął się do jej ręki, a ona do niego temi słowy:

— Panie Ezechielu, już waszmości tyle razy powtarzałam, że kiedy się wchodzi do uczciwego domu szalacheckiego, od tego się zaczyna, że mówi się: sława Bogu!

— Przepraszam najpokorniej: prawda, zem się poszkapił: — sława Bogu!

— Na wieki wieków.

— Moja najdroższa pani! Niech jejmość będzie łaskawą na mężowskiego kolegę i stanie się jemu opiekunką; w imości cała nadzieja moja.

Policzki baby okraśliły się rumieńcem radości.

— Czegoż waszmość odemnie żądasz?

— Imość dobrodzikę szanuję i miłuję więcej, niż własną matkę, jakem towarzyszył pancerny, bo u matki same tylko wymówki znajduję, a u imości macierzyńską życzliwość.

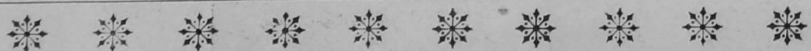
— Dobrze, dobrze; waszmość ile razy czego potrzebujesz odemnie, zawsze wątróbkami umiesz mnie karmić. No, cóż mam zrobić dla waszmości?

— Przed nią nie chcę mieć nic tajnego; więc muszę wyznać, że koniecznie dziś bić się mi wypadło.

— Ratujcie wszyscy Święci! Cóż to za nowa burda, panie Ezechielu?

— Oto z tymi zaporozkimi hajdamakami, co to wczoraj pięćset złotych od mojego ojca uchwycili, żeby na czas jaki kalnickie hrabstwo uwolnić od rabunku.

— Ach ja nieszczęśliwa! oni mojego pana Ezechiela zabijają.
(c. d. n.).



Spowiedź.



*W konfesjonale grzech tłucze o ściany
I przez kraty mównicy patrzy po kościele,
Po nawach kadzielnica dymy szare ściele,
Przy ołtarzu się korzy łotr od łez pijany...*

*Zgrzyt drzwiczek—i młodzieniec wszedł, by słuchać duszy;
Twarz lekko zakrył stulą, w blade wziętą dłoń, —
W chwilę taką, gdy słońce wiosny szło na błonie,
Grzech się wynurzył z błota gorszy od katuszy...*

*I tyle już przestuchał rozszepowanych warg,
i nad tyłoma znak nakreślił krzyża,
Że mu się głowa na pierś wątlą zniża,
I prawie teraz martwy jest od klątw i skarg..*

*Ostatnim łotr był dzisiaj u niego grzesznikiem
I skrwawioną w zbrodni głowę swoją chyli;
W kościele mrok panował, tłumnie wychodzili
I wiatr wionął po nawach dziwnym jakimś krzykiem...*

*Młody ksiądz stulę zsunął z umęczonej twarzy
I w osłupieniu słucha strasznego wyznania,
Zło było tak potężne, że się słuchać wzbrania,
Wobec Boskich mistycie płonących ołtarzy.*

*I nad łotrem pochylił smutną młodą głowę,
Bo nie wiedział, że zbrodnie świata są tak duże; —
Łotr się korzył przechodząc teraz wszystkie burze,
Bez rozgrzeszenia odszedł znów na zbrodnie nowe...*



*A kiedy wicher znowu wiał wśród naw osleptych
Pochodnie krwawym światłem padły im w orbitę,
Między kwiaty po całym kościele rozbite,
Wnieśli trumnę zmarłego od ran jeszcze ciepłych.*

Józef Węgleński.



Ziarnka naukowe.

(Spirytus z odpadków drzewnych.—Nieudane próby.—Przedsiębiorczość amerykańska.—Buty wodne.—Polski wynalazek).

Poznanie chemicznej budowy celulozy, cukru gronowego i alkoholu musiało teoretykom chemikom nasunąć pomysł przetwarzania celulozy przy pomocy kwasów na cukier, a potem wytwarzania z tego cukru gronowego w drodze fermentacji alkoholu. Odkąd zwłaszcza wykazał Braconnot, że oddziaływanie kwasami na materiały zawierające celulozę prowadzi bez trudności do wytwarzania cukru,

bardzo wielu chemików zajęło się problemem praktycznego wyzyskania pomysłu i wyrobę alkoholu z drzewa oraz z innych materiałów drzewnikowych na wielką skalę. Ale aż do końca ubiegłego wieku nie zdołano na tem polu uzyskać korzystnych technicznych wyników. Ważna zdobycz laboratoryjna nie opłacała się fabrycznie i handlowo.

Dopiero w latach ostatnich chemicy zajęli się ponownie sprawą przetwarzania drzewnika na alkohol, zajęli się praktyką po stuletniem prawie istnieniu nauki; badania Braconnota przypadają bowiem na rok 1819. Do zainteresowania się rzeczą tą przyczyniła się w niemałej mierze Ameryka. W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie jest przemysł drzewny rozwinięty na olbrzymią skalę; cały szereg tartaków pali ognie dniem i nocą tylko dlatego, by się pozbyć odpadków drzewnych. Odpadki te ginęły dotąd bezużytecznie. Praktyczny amerykańcin patrzył ze smutkiem na marnotrawienie materiału i postanowił wreszcie położyć mu kres. Rozpisano szereg konkursów o wysokich nagrodach, wynalazcy zabrali się do dzieła. Podstawą prac stały się dawniejsze teoretyczne wyniki europejskich badaczy. Ponowiono próby z ulepszonym systemem Braconnota, uwzględniono zwłaszcza metodę inżyniera Classena z Akwizgranu. W Highland-Park, koło Chicago, powstała kosztem milionerów amerykańskich wielka stacja doświadczalna, a gdy prace jej dały dość korzystne wyniki, zbudowano niebawem w Hattisburg w stanie Missouri wielką fabrykę spirytusu drzewnego, zawiązując osobne towarzystwo akcyjne z ogromnym kapitałem pod nazwą: Classen Lignum Co.

Sposób wyrobu był następujący: wiory i trociny drzewne umieszczano w żelaznym, walcowatym kotle, o średnicy 1 mtr., a długości 10 mtr., wewnątrz pokrytym warstwą ołowiu. Do kotła zwanego „digestorem“, a mogącego pomieścić około 1800 klg. odpadków drzewnych, wlewano rozcieńczony kwas siarkowy, zamykano go szczelnie i wprawiano w ruch obrotowy, ogrzewając do 150° C., przy czem ciśnienie wewnętrzne dochodziło do 7 atmosfer. Po upływie czterech do sześciu godzin wypróżniano kocioł i ługowano wodą jego zawartość. Otrzymaną w ten sposób ciecz cukrowatą poddawano procesowi fermentacyjnemu i w rezultacie otrzymywano z każdych 100 klg. suchych odpadków drzewnych około 8 litrów czystego alkoholu.

Ale i przy tej metodzie trudności techniczne były tak wielkie, że fabrykacja jeszcze się nie opłacała. W następstwie fabryka spirytusu drzewnego w Hattisburgu przestała istnieć; towarzystwo akcyjne wołało stracić włożone już kapitały, aniżeli dokładać ciągle nowe.

Praktyczne wyzyskanie projektu jednak postąpiło już duży krok naprzód, a wiadomo, że w Ameryce nie brak ani wynalazców, ani kapitalistów, chę-

tnych do zużycia każdego, względnie dobrego odkrycia. Więc niebawem ulepszono nieco metodę wyrobu spirytusu z odpadków drzewnych; miejsce rozwiązanego towarzystwa akcyjnego zajęło nowe: „Classen Chemical Co, z siedzibą w Hadlock w stanie Washington.

Niezależnie od tego, podjęli pracę dwaj inżynierowie amerykańscy, Ewen i Tombinson, zbadawszy poprzednio dokładnie metodę Classena na miejscu w Akwizgranie. Zmienili oni formę „digestora“, przeistoczyli nieco sposób wyrobu, osięgając większą oszczędność produkcji, uzyskali patenty wynalazcze i zapoczątkowali powstanie nowego towarzystwa akcyjnego, które zbudowało fabryki spirytusu drzewnego w Georgetown w stanie Południowej Karoliny i w Fullertown koło Missouri. Pierwszą z tych fabryk nabyła niebawem Nemours Powder Co, skupiająca w swych rękach nieomal cały wyrób prochu i materiałów wybuchowych w Stanach Zjednoczonych. Ponieważ kompanja ta spotrzebuje ogromne ilości spirytusu, więc sprawa ceny ma dla niej ogromne znaczenie i dlatego nie cofa się przed żadnymi kosztami, byle zapewnić sobie jaknajtańszą masową dostawę. To też fabryka w Georgetown przyczyniła się głównie do fabrykacji alkoholu z drzewnika. W pobliżu niej znajdują się trzy tartaki parowe Tow. Atlantic. Coast Lumber Co, które dawniej wrzucały odpadki drzewne bądź do pobliskiej rzeki, bądź rozsypywały po okolicznych polach, jako surogat nawozu, bądź wreszcie spalały w umyślnie zbudowanych piecach. Dzisiaj przerabia się już codziennie 220000 klg. odpadków na spirytus.

Metody amerykańskie zostały już tak ulepszone, że świat handlowo-przemysłowy nawet w Europie coraz poważniej liczy się z możliwością niedalekiej walki konkurencyjnej między fabrykami alkoholu z odpadków drzewnych a zwyczajnymi gorzelniami.

* * *

Do dziedziny sportu należy jeden z nowych wynalazków, noszący nazwę „butów do ślizgania się po wodzie“. Wynalazcą jest Kołodziej, mieszkający w Poczdamie pod Berlinem, gdzie również utworzyło się przedsiębiorstwo, mające na celu eksploatację wynalazku. Buty do ślizgania się po wodzie mogą mieć duże znaczenie dla armji przy przebywaniu przez rzeki, dla ratownictwa przy niesieniu pomocy tonącym itp.

Buty Kołodzieja są to podłużne, cylindryczne zbiorniki powietrzne o ostrem zakończeniu, by natrafiały na możliwie najmniejszy opór. Przymocowuje się je do nóg za pomocą specjalnie obmyślonych wiązadeł; zaopatrzone w rodzaj pletw umożliwiają ślizganie się po powierzchni wody na sposób ruchu na łyżwach. Do posuwania się naprzód służą wiosła o lejkowatym kształcie w dolnej części, rów-

niez pneumatyczne. Po wypuszczeniu powietrza i złożeniu buty te mają tak niewielki rozmiar i ciężar, że wygodnie można je nosić z sobą. Czy w użyciu praktycznym, zwłaszcza na falach wody o dość silnym prądzie, buty usprawiedliwią przypisywane im przez reklamę zalety, wykaże dopiero przyszłość; dotychczasowe próby nie są jeszcze wystarczające.



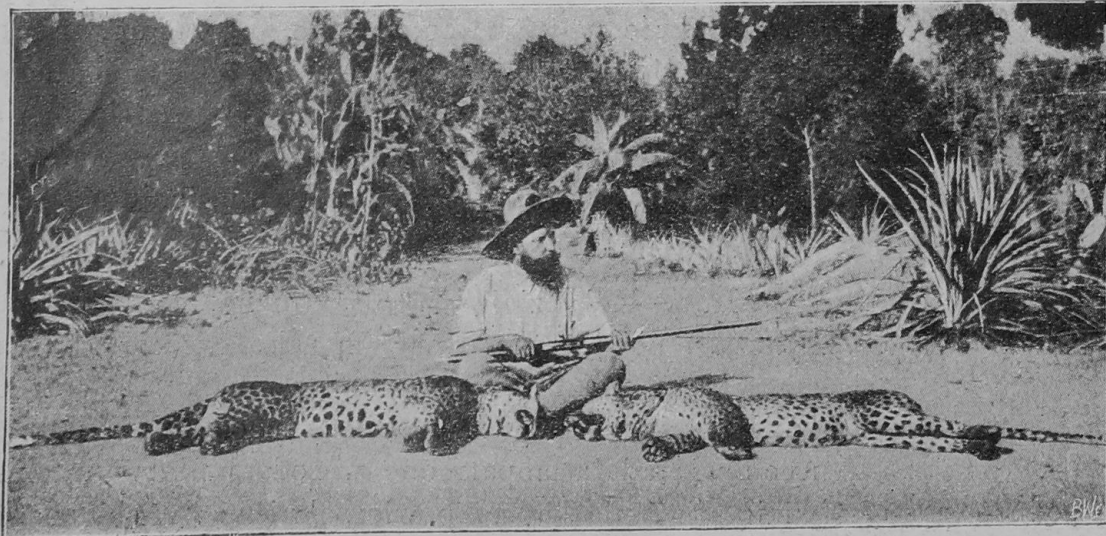
Polowanie na jaguara.

Były prezydent Stanów Zjednoczonych, Teodor Roosevelt, będący, jak wiadomo, zapalonym przyrodnikiem, podróżnikiem i myśliwym, powraca właśnie z wyprawy, przedsięwziętej w celach naukowych i myśliwskich do niezbadanych jeszcze części olbrzymiego obszaru brazylijskiego Manaos.

W sprawozdaniach z tej wyprawy śmiały podróżnik podaje opis polowania na jaguara, które przedsięwziął w towarzystwie syna swojego Kermita.

O godzinie 2 w nocy, przy blasku gwiazd, wyruszyli: Roosevelt, syn jego Kermit, pułkownik Rondon i dwu krajowców z psami w kierunku, gdzie odkryto trop zwierza. Małe ich koniki, przyzwyczajone do gruntu błotnistego, po którym dążono, niosły ich szybko. Przebywano moczary i senne strumienie, wystraszając drzemiące aligatory; przedzierano się przez gęstwiny, aż wreszcie odezwały się pierwsze kwilenia budzącego się ptactwa i wrzask małych, witających wschód słońca, a gdy wreszcie blask słoneczny oblał ziemię, znaleziono się na miejscu śladów.

Wprowadzone na trop zwierza psy zaszczekały głośno i ruszyły z nozdrzami u ziemi po przez gęstwiny i strumienie, które widocznie nie tworzyły przeszkody dla jaguara. Nagle szczekanie wzmogło się gwałtownie. Nie ulegało wątpliwości, że psy osaczyły zwierza w gęstwinie lub na drzewie. Gdy



Roosevelt i dwa ubite jaguary.



Z wyprawy Roosevelta brzegami Amazonki.

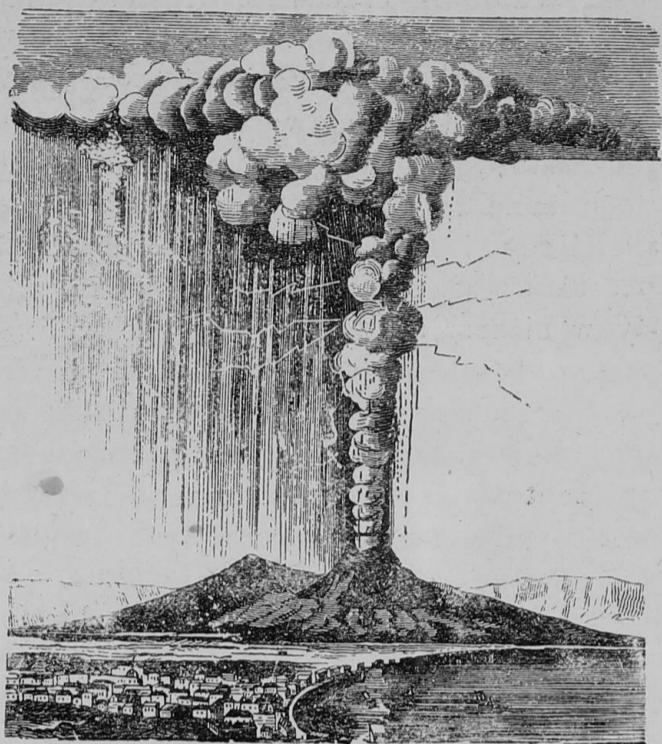
jeźdźcy zbliżyli się do tego miejsca, drugie przypuszczenie okazało się słusznym. Zwierz usadowił się na konarach drzewa taruman i przyskał jak kot na psy, doskakujące zewsząd.

W obawie, aby jaguar nie drapnął w gęstwinę, Roosevelt nie czekał dłużej i zmierzył się do zwierza z odległości 60 metrów. Jedna kula ekspansyjna z małego karabinu Springfielda, którym myśliwy kładł już lwy i słonie w Afryce, wystarczyła najzupełniej i zwierz runął z drzewa.

„Jaguar — pisze Roosevelt — jest królem zwierząt Ameryki południowej. Zabity egzemplarz był dorosłą samicą, przewyższającą wzrostem i wagą afrykańską panterę lub lamparta. Mocno zbudowany, robił wrażenie pod względem muskulatury raczej tygrysa lub lwa, niż lamparta albo pumy. Okazało się przytem, że mięso jego jest smaczne, gdyśmy go wieczorem spróbowali, choć nie było upieczone tak, jak powinno. Skosztowałem go, wiedziałem już bowiem, jak smakuje mięso pumy, i odżałować nie mogę, że w Afryce nie przyszło mi na myśl spróbować mięsa lwa, które napewno jest również dobre“.

Następnego dnia wznowiono polowanie, bo i młody Roosevelt upominał się o strzał do jaguara. Po długim śledzeniu tropu psy kilkakrotnie usiłowały osaczyć zwierza, ale za każdym razem potrafił się im wymknąć. W końcu jednak wdrapał się na drzewo i Kermit Roosevelt przyszedł łatwo do strzału. I tym razem jedna kula wystarczyła. Zabity jaguar okazał się wspaniałym samcem w pełni sił, przewyższającym dwukrotnie rozmiarami i wagą dorosłego lamparta afrykańskiego, a budową ciała przypominającym lwa. Skórę posiadał niezwy-

kle piękną o połysku jedwabistym. Okazało się także następnie, że jaguar ten był już oddawna plagą okolic, zakradając się, zwłaszcza podczas wylewów, do osad krajowców, skąd porywał krowy i cielęta.



Wybuch Etny.

Jaguar uchodzi za najniebezpieczniejsze zwierzę drapieżne południowej Ameryki. Długość jego bez ogona wynosi półtora metra; kolor skóry jest rdzawo żółty, brzuch biały, od boków przegrodzony czterema do sześciu centkami czarnymi po każdej stronie. Najchętniej przebywa w bliskości wielkich rzek, wśród moczarów i lasów. Indianie zabijają groźnego swego wroga małymi, silnie zatrutymi strzałami, które wydmuchują z rur bambusowych.

Kronika polityczna.



Ciężka, złowroga klęska nawiedziła królestwo włoskie. Wojna w Meksyku, zatargi w Epirze i obawa o życie Franciszka Józefa zmały wobec żywiołowej katastrofy. Potęga silniejsza od zamierzeń ludzkich, w perzynę obróciła liczne miasta Sycylii i setki ludzi pozbawiła życia i mienia. Tem straszniejsze i boleśniejsze są skutki trzęsienia ziemi na żyznej wyspie włoskiej, że nikt tutaj nie ponosi winy.

Trzęsienie ziemi w prowincji sycylijskiej Catanja było — jak donoszą dotychczasowe depesze —

jeszcze gwałtowniejszem, niż w r. 1908. Liczba ofiar jest, jak się zdaje, mniejszą tylko dlatego, że zupełnie zniszczeniu uległy teraz miejscowości mniej zamieszkałe.

Główne uderzenie nastąpiło pomiędzy Mangano i Acireale na wschodniej części Etny. Było ono tak nagłe i silne, że natychmiast runęło mnóstwo domów. Kierunek trzęsienia, które było faliste, szedł po linii Catanja — Mesyna.

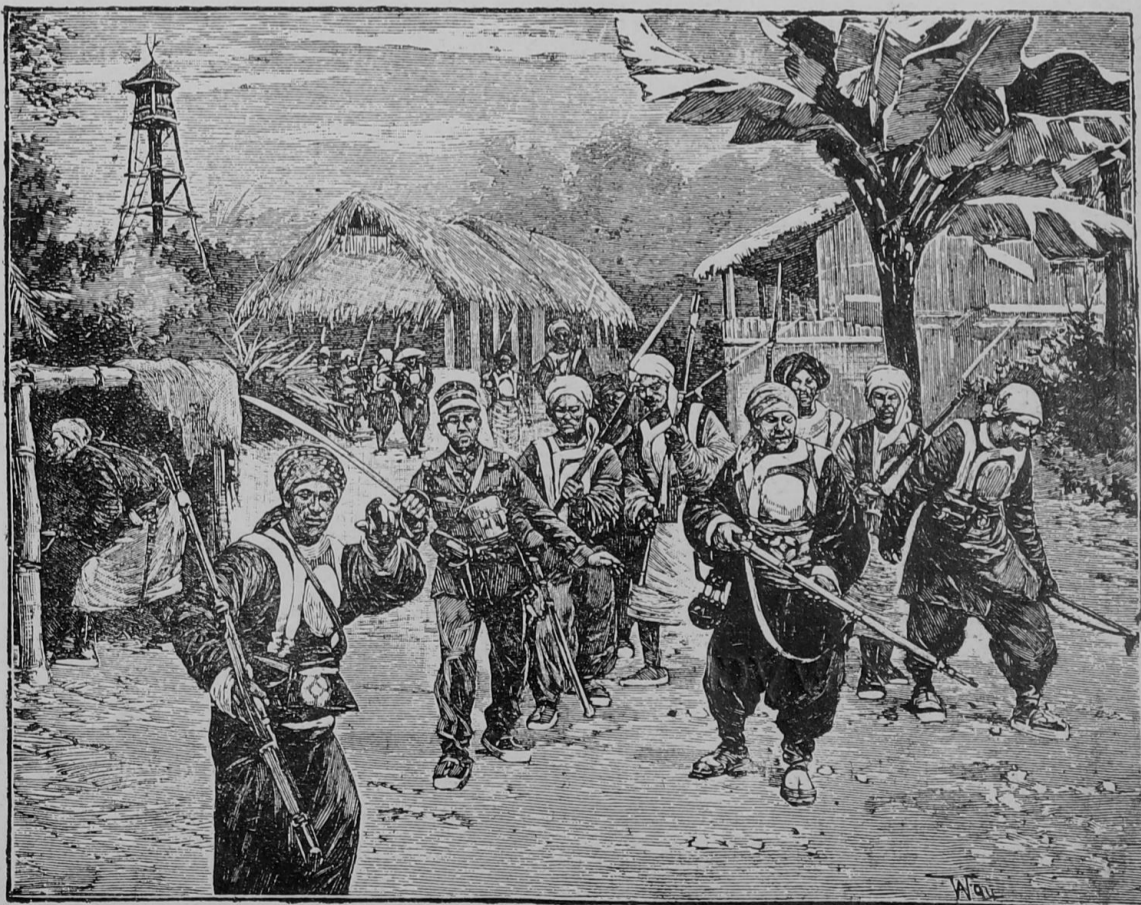
W wszystkich miejscowościach dokoła Acireale, Mangano, Zerbati, Pennisi, Santa Venerina, Belpasso, Lineri i Zefferana Etenea ludzie, o ile nie zginęli odrazu pod gruzami, wybiegli w pole opętani strachem, płacząc i krzycząc, a stamtąd patrzeli jak na dzień sądu, na walące się swoje domostwa.

Zbiegowie, drżąc z przerażenia opowiadają, że ziemia tańczyła pod nogami, jak morze podczas burzy.

Szosa prowincjonalna na znacznych przestrzeniach zapadła w ziemię. Zniszczone są również linie kolejowe i telegraficzne, a wzdłuż tunelu pomiędzy Giarre i Mangano powstała wielka ryna.

W Catanji trzęsienie ziemi wywołało szalony popłoch. Mieszkańcy, sądząc, że spotka ich los Mesyny, wybiegli na place, nie mając odwagi wrócić do domów. W Acireale patrzono z osłupieniem na to, jak w okolicy padały kościoły, domy, jakby wstrząsane olbrzymimi łapami podziemnych potworów. Całą tą okolicę nawiedziło prawdziwe bombardowanie kamieni.

Widok zburzonej doszczętnie Lineri jest jeszcze bardziej wstrząsający, niż swego czasu Mesyny. Jest to poprostu kupa gruzów, z pod których wydobywają się jęki i płacze.



Powstańcy chińscy z bandy „Białego Wilka“.

Przyczyny katastrofy są, zdaje się, natury lokalnej, a więc wulkanicznej, jak to słusznie przewidywał prof. Ricco, nie spodziewając się, żeby tego rodzaju wstrząśnienia mogły być tak poważne.

W głównym kraterze Etny powstały wielkie rozpadliny, a wykwitają z nich gęste kłęby dymu.

Prowincja sycylijska, Catanja, graniczy od północy z prowincją Mesyny, od południa z Syrakuzami, od wschodu z morzem Jońskim, i dzieli się na okręgi Acireale, Caltagirone, Catanja i Nicosia.

W północno-wschodniej części tej prowincji wznosi się pokryta śniegiem Etna, której najstraszniejszy wybuch miał miejsce w r. 1892 w d. 9-ym lipca. W przeciągu miesiąca lawa dotarła wtedy o kilka kilometrów od Bocello, Nicelosi i Pedary.

W r. 1899 dym z wulkanu poszedł na wysokość 5,000 metrów, ziejąc szlamem i popiołem.

W r. 1908, kiedy w dniu 29 grudnia padła w gruzy Mesyna, Etna była spokojna.

Strat w ludziach i dobytku nie sposób dzisiaj obliczyć. Są w każdym razie olbrzymie i niepowetowane. Cały świat kulturalny wyraził już królowi Wiktorowi Emanuelowi, który jest prawdziwym opiekunem ludu włoskiego, swe żywe współczucie.

Dokonany w Pekinie zamach stanu nadał prezydentowi Juanszikajowi znaczenie samowładnego monarchy. Wszystko jest zależnem od jego woli; nie potrzebuje słuchać uchwał parlamentu, jest jedynym dowódcą wojska i rządcą kraju, mianuje i zrzuca ministrów, wyznacza wszystkich urzędników w kraju, jednym słowem brak mu tylko tytułu cesarza chińskiego, aby był rzeczywiście monarchą 400 milionów ludności. Lecz za tą władzą czai się wielka słabość państwa. Juanszikaj jest samodzielnym przywódcą wszystkich wojsk chińskich, których liczba wynosi kilka milionów głów, a nie może ubezwładnić kilkunastu tysięcznych band „Białego Wilka“ na południu olbrzymiego państwa. „Biały Wilk“ drwi sobie z prezydenta chińskiej rzecypospolitej i odrzuca z pogardą tytuł generała, który mu ofiarował Juanszikaj, twierdzeniem, że sięgnąć może, jak chce, po wyższe zaszczyty.

Chiny są kolosem na glinianych nogach, a stojący na ich szczycie władca mimo pozornej swej potęgi runąć może w przepaść za pierwszym podmuchem losu.

Lech.

Zwyciężony.

D. 20 kwietnia 1814 r., pożegnawszy wśród łez swoją gwardję, opuścił Napoleon Fontainebleau. Cesarz podróżował w pojeździe, zwanym „dormeuse“, czemś w rodzaju dzisiejszego wagonu sypialnego, za nim w trzynastu wagonach jechali wierni zwy-

ciężonemu: Droust, Bertrand, lekarz, aptekarz, sekretarz, kamerdyner, kucharze, kowal, lokaje, stajenni oraz czterej komisarze, którzy złożonemu z tronu cesarzowi towarzyszyli na Elbę: feldmarszałek austriacki Koller, generał rosyjski Szuwałow, generał pruski Waldburg-Truchsess, wreszcie pułkownik angielski Sir Neil Campbell.

Postanowiono, aby orszakowi towarzyszył oddział, złożony z tysiąca dwustu do tysiąca pięciuset gwardzistów. Dojechał on jednak tylko do Nevers, w Roanne zaś orszak cesarski otoczyli huzarzy austriaccy i kozacy rosyjscy; niezadowolony z tego cesarz zrzekł się wszelkiej eskorty. Podczas podróży w niczem nie krępowano jego woli: Napoleon sam oznaczał popasy i dawał znak do odjazdu, na postojach mógł przyjmować kogo uznał za właściwego i odbierać hołdy. Wojska, spotykane na drogach, prezentowały przed nim broń, lud zaś, powiadomiony o zbliżaniu się cesarza, jak za dawnych czasów, rozwijał chorągwie napoleońskie. Ale za Lugdunem zmienił się obraz; w miarę zbliżania się do Prowancji, wzrastały wrogie pomruki. W Awinjonie, dokąd orszak przybył d. 25 kwietnia, uzbrojone tłumy usiłowały zatarasować drogę, wrzeszcząc: „Precz z tyranem.“ Pomimo to orszak, jakkolwiek z wielkim trudem, zdołał utorować sobie drogę.

W Orgnon Napoleon przeżył przykrą chwilę; oto ujrzał zawieszony na rynku manekin z twarzą cesarza i napisem „Buonaparte“. Tłum, uzbrojony w kamienie i kije, rzucił się na pojazd cesarski. Napoleon, ulegając sile, musiał wysiąść wśród ryku pospólstwa i przypatrywać się spaleni swojej podobizny; rozwścieczone kobiety rzucały się na cesarza, zerwały z jego piersi oznaki honorowe, pluły mu w twarz; mając dokoła siebie chłopskie pięście, z rąk do rąk przerzucany, musiał on krzyżeć: „Niech żyje król!“ Nic w tem dziwnego, że gdy Napoleon powrócił z Elby, wiele mieszkańców Orgnonu uznało za właściwe zniknąć bez wieści. Czterej komisarze, oburzeni tymi wybrykami, podwoili liczbę koni rozstawnych, aby jaknajprędzej wyprowadzić Napoleona z tych wrogich stron. Cesarz jednak, w obawie, aby i dalej nie spotkało go takie przyjęcie, wyjechawszy cztery mile za Orgnon, zrzucił swój popularny surdut i kapelusz, włożył zaś surdut błękitny i kapelusz okrągły z białą kokardą; miejsce swoje w powozie oddał marszałkowi Bertrandowi, a sam wsiadł na konia pocztowego i otoczony kilku pocztyljonami, grał rolę swego własnego kurjera.

Wicher dał z siłą i wzbijał w górę obłoki kurzu, gdy cesarz, przebrany, jechał drogami południa Francji. W Lambeşe, mieścinie malowniczej, podobnej do oazy wśród nagich skał, Napoleon był poznany przez dawnego żołnierza; ponieważ stary wojak nie umiał utrzymać języka za zębami, przeto ludność w mgnieniu oka dowiedziała się, kto jest ów jeździec, mknący jak wicher. Zdażyło jeszcze dogonić Napoleona kilka okrzyków nienawistnych,

ale i na tem koniec manifestacji. O godz. 1 po południu zatrzymał się Napoleon przed oberżą w La Calade; upadał on ze znużenia, w ciągu bowiem trzech godzin przebył ośm mil. Przedstawił się właścicielce jako Sir Neil Campbell i zażądał pokoju. Oberżystka miała wolną tylko niską, ciemną izdebkę, ale podróżny oświadczył, iż wystarczy mu ten kącik.

Gospodyni, porządkując izdebkę, wypytuje swego gościa o różne rzeczy, a i to, między innymi, czy nie spotkał on Bonapartego. — „Nie!“ — lakonicznie odpowiada Napoleon, niewiasta zaś wyraża nadzieję, iż Bonaparte żywy nie dojedzie na Elbę; jeśli nie utłuką go, zanim wsiądzie na okręt, to podczas podróży morskiej wrzucą tyrana do wody. Rozmowa ta między Napoleonem i oberżystką, opowiedziana pierwszy raz przez Anglika, który dowiedział się wszystkich szczegółów od Sir Neila Campbella, była w następstwie różnie przyozdabiana.

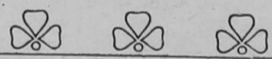
— Podobasz mi się, mój chłopcze — rzekła, według Campbella, do cesarza oberżystka — więc radzę, nie wyruszaj na tym samym statku, co Bonaparte, bo napewno dadzą mu się napić słonej wody, i dobrze uczynią, gdyż inaczej wróciłby za trzy miesiące.

— Bardzo nienawidzicie Napoleona? — zauważył gość. — Jakąż on wyrządził wam krzywdę?

— Jaką krzywdę? Jest winien śmierci mojego syna, siostrzeńca i tylu innych.

Gdy później do izdebki weszli komisarze, Napoleon łyż miał w oczach i był bardzo przygnębiony.

Jedzenia nie tknął, szklanek, napełnionych winem, która przed nim stała, rozdrażniony, zrzucił na podłogę. Tymczasem, niewiadomo jakim sposobem, dowiedziano się o obecności Napoleona: przed oberżą gromadził się tłum i rósł z każdą chwilą. Musiano w oberży pozostać całą noc i wyruszono dopiero nad ranem. Cesarz przed wyjazdem znów się przebrał, tym razem w mundur austriacki, na głowę włożył czapkę żołnierza pruskiego i zarzucił na ramiona płaszcz oficera rosyjskiego. Tak odziany, wsiadł do swojej „dormeuse“. D. 26 kwietnia dotarł do zamku Baullidon pod Luc, gdzie spotkał się ze swoją siostrą, Pauliną.



Z bliska i daleka.

Kto był warjatem? Pisma paryskie przypominają interesujące zdarzenie. Pewien uczony zagraniczny, przybywszy przed laty kilkunastu do Paryża, prosił znanego lekarza, by mu dał sposobność poznania nieszkodliwego warjata. W odpowiedzi doktor zaprosił go na obiad, uprzedzając, że przy stole

znajdzie się właśnie człowiek obłąkany. Uczony za stał dwu gości, których mu przedstawiono nie wyraźnie: jeden miał wygląd poważny, mówił mało, lecz wtrącał uwagi trafne — twarz jego była sympatyczna i zdradzała skupienie myśli; drugi — zaniebdany w stroju, z rozwichrzonymi włosami, krzyczał, wymachiwał rękoma, przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, nie dał nikomu dojść do słowa, drwił z rzeczy najpoważniejszych, mówił o polityce i balecie, o pogodzie i literaturze. Po obiedzie uczony zbliżył się do doktora i dziękował mu za sposobność poznania tak ciekawego obłąkańca, przyczem wskazał oczyma na gadatliwego biesiadnika.

— Myli się pan — odrzekł doktor — to jest Emil Zola. Warjatem jest — tamten drugi.

Dziewięć błędów życiowych. Londyński sędzia Rentoul tak sparagrafował w jednym z pism błędy, popełniane najczęściej przez ludzi:

1) Każdy swoje osobiste pojmowanie zła i dobra uważa za bezwzględnie słuszne i chciałby je całemu światu narzucić.

2) Przyjemności i radości innych zwykliśmy przymierzać do tego, co nam przyjemność i radość sprawia.

3) Uważamy powszechnie, że na świecie może istnieć jednostajność i jednozgodność poglądów.

4) Wszystkie charaktery chcemy wlać w jeden model, w jedną formę.

5) Własne czyny zwykliśmy uważać za nieomyślne.

6) Dręczymy siebie i drugich rzeczami, na które niema rady.

7) Poczytujemy bezwzględnie niemożliwym to, co niemożliwe jest tylko dla nas.

8) Wierzymy w to tylko, co nasz ciasny umysł ogarnąć może.

9) Sądymy ludzi według pozorów, nie zaś według ich wewnętrznej treści.

Te wszystkie błędy dałyby się scharakteryzować brakiem jednej cnoty: wyrozumiałości.

Polowanie na foki. Z nadejściem wiosny z Neufundlandu wyrusza flota, złożona z 20 do 25 parowców, z których każdy wiezie około 200 myśliwych, wyspecjalizowanych w polowaniu na foki, ściślej mówiąc: w rzezi stworzeń, których futra są tak wysoko cenione.

W tej porze roku samice skupiają się na taflach lodowych i tam potomstwo swoje wydają na świat. „Dzieci“ fok posiadają futro bardzo miękkie, więc poszukiwane, a po upływie kilku tygodni od chwili swojego urodzenia jeszcze nie umieją pływać. Gdy parowiec zbliży się do płyty lodowej z młodem fokami, łowcy, uzbrojeni w ciężkie drągi, schodzą na ląd i zabijają nieszczęśliwe stworzenia. Skóry z tłuszczem wędrują na pokład.

Polowanie tego rodzaju jest połączone z niebezpieczeństwem, zdarza się bowiem, że okręt ulega

czasami zderzeniu i rozbiciu w zetknięciu z olbrzymią bryłą lodową. Flota powraca do Saint-Johns w Neufundlandzie, mając na pokładzie od 400 do 500 tysięcy skór młodych fok. Tłuszcz jest przetapiany na tran, skóry zaś posyłane przeważnie na rynek handlowy do Londynu. Jest to główne źródło zarobków mieszkańców wyspy. Na wodach europejskich, w następstwie umowy, zawartej pomiędzy Niemcami, Anglią i krajami skandynawskimi, polowanie na foki jest zabronione.

Z ruchu uprzemysłowienia kraju.

Sekcja Chowu Bydła C. T. R. podaje niniejszem do wiadomości, że w dniu 22 czerwca r. b. rozpoczną się czterotygodniowe kursy przygotowawcze, na asystentów kontroli obór. Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacji udziela biuro Sekcji (Erywańska 16 w Warszawie). Opłata kursu 4-tygodniowego wynosi rb. 20.

Z piśmiennictwa.

Wiljam Szekspir. Dzieła dramatyczne. Wydanie nowe w 12-tu tomach, z portretem autora oraz kilkudziesięciu drzeworytami tytułowymi. Zyciorys poety i objaśnienia do jego utworów opracował prof. dr. Roman Dybowski; studjum pod tyt. „Szekspir w Polsce“ napisał dr. Ludwik Bernacki. Wyboru przekładów, z dawniejszych pióra Korzeniowskiego, Koźmiana, Ostrowskiego, Pajgerta, Paszkowskiego, Ulricha, z współczesnych zaś Jana Kasprowicza i Edwarda Porębowicza dokonał Stanisław Krzeziński. Gebethner i Wolff. Warszawa 1914.

W przyszłym roku rozpoczną się w Europie i w całym świecie cywilizowanym uroczystości szekspirowskie związane z trzechsetną rocznicą śmierci tego najpotężniejszego pisarza dramatycznego.

Nie wiadomo dziś jeszcze, jakimi pracami literackimi zaznaczy się na polskim gruncie trzechsetlecie Szekspira. Natomiast zapisać dziś możemy, poważny, wzorowy wstęp do tych możliwych prac: dwunastotomowe wydanie dramatów Szekspira. Edycja ta, wydana przez firmę Gebethnera i Wolffa, doczekała się już pochwały w ojczyźnie Szekspira. My z swego, polskiego stanowiska zaznaczyć musimy, że jest to u nas prawdziwie naukowe wydanie Szekspira. Dzieła dramatyczne pojawiły się w wyborze przekładów możliwie najlepszych z istniejących. Dobór ten stanowił ostatni trud żywota niezapomnianego pracownika, ś. p. St. Krzezińskiego. Do tomu pierwszego dołączono zyciorys Szekspira, skreślony przez dr. Romana Dybowskiego, prof. literat. angielskiej na uniw. Jagiellońskim. Tom dwunasty, ostatni z rzędu, przynosi cenną rozprawę prof. Ludwika Bernackiego: „Szekspir w Polsce“.

SZARADA.

*Trzecie drugie żywiołu siłę ograniczy,
Pierwsze wspak — z trzeciem spraw pieniężnych do-
[tyczy;*

*Drugie — wspak pierwsze lęklwym przed oczyma
[staje;*

Wszystko zaś na wojnie śmierć ludom zadaje.

Rozwiązania szarady z nr. 18 „Ziarna“

POLEMIKA

nadesłali: St. Welenc i P. Karszo-Chmielewski z Warszawy; A. Kocerginówna z Dietrznik, Br. Górka z Zielenki, W. Dunin-Marcinkiewiczówna z Horodzieja, Sz. Miksz z Nowo-Radomska.

Z losowania nagrody wypadły dla St. Welenca z Warszawy i W. Dunin-Marcinkiewiczówny z Horodzieja.

Miejscowi mogą nagrody odbierać w Administracji „Ziarna“; zamiejscowi zechcą nadesłać w markach 20 kop. na przesyłkę.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8¹/₂, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przedewszystkiem wzniosły temat i praca najświetniejszego malarza polskiego zalecają wspaniałe to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna“ ustąpić obraz ten po cenach niższych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna“ z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Królowi Polskich“.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

Od Administracji.

Do numeru niniejszego (20) załączamy № 10 „SMIECHU“, dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. Al. Starz. w Białymstoku. Za zmianę adresu zechce WPan nadesłać w markach pocz. 20 kop.

WPani Zofii Koper. w Żytom. Sześć barwnych rycin do „Świątyni sławy narodowej“ otrzyma WPan razem za pierwsze półrocze w czerwcu. Za oprawę albumową należy się 40 kopiejek.

WPani Z. Żytyń. w Kisiel. Pieniądze otrzymaliśmy, za omyłkę Administracji przepraszamy. Okładka albumowa kosztuje 40 kop. Można nadesłać w markach pocz. Wysyłka połowy rycin wraz z albumem nastąpi w czerwcu.

Nagrodzonemu. Na przesłanie książki prosimy o 20 kop. w markach poczt.

TREŚĆ N-ru 20.

Zydzi w Wielkopolsce. — Wieści z Durazzo (korespondencja). — Wśród wyznawców Mahometa (dok.). — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans histor. z w. XVI (c. d.). — Spowiedź, wiersz J. Węgleńskiego. — Ziarnka naukowe. — Kronika polityczna. — Zwyciężony. — Z bliska i daleka. — Z ruchu uprzemysłowienia kraju. — Szarada i rozwiązanie. — Od Administracji. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. Wiochna. — Zamożni mieszkańcy Skutari. — Derwisz przy michrabie (ołtarzu). — Widok Skutari. — J. Kossak: Drużba z krakowskiego wesela. — Roosevelt i dwa ubite jaguary. — Z wyprawy Roosevelta brzegami Amazonki. — Wybuch Etny. — Powstańcy chińscy z bandy „Białego Wilka“.